

Roman Wolańczyk, Kielce

Wspomnienia ze szkoły podchorążych przy 4. Pułku Piechoty Legionów w Kielcach z lat 1938–1939. Opr. Paweł Wolańczyk

Pamiętniki spisane zostały przez Romana Wolańczyka¹ na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. Mają one postać rękopiśmienną. Składają się z luźnych kart formatu A 4, zapisanych jednostronnie bądź dwustronnie – łącznie 181 stron. Tekst główny uzupełniany był w późniejszym czasie kilkustronicowymi „wstawkami”, w których rozszerzano opis niektórych wydarzeń. Można zresztą przypuszczać, że autor nigdy nie uznał swych wspomnień za dzieło całkowicie ukończone, o czym świadczą dopiski na marginesach o konieczności dalszego rozwijania wybranych wydarzeń. Dodatki te prawdopodobnie nigdy nie powstały. Rękopis obejmuje lata 1934–1942. Dalsza jego część, doprowadzona do lat 50. XX w. niestety zaginęła.

Autor rozpoczyna wspomnienia od przedstawienia lat szkolnych spędzonych w Gimnazjum i Liceum Męskim im. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim. W następnych rozdziałach odtwarza przebieg Kursu Podchorążych Rezerwy przy 4. Pułku Piechoty Legionów w Kielcach [dalej 4 P.P. Leg.] Po jego ukończeniu zostaje skierowany do 3. Pułku Piechoty Legionów, stacjonującego w Jarosławiu. Od 10 do 18 września 1939 r. w kolumnie nr 10, będącej częścią Ośrodka Zapasowego 2. Dywizji Piechoty Legionów, wycofuje się w kierunku Mostów Wielkich i Kamionki Strumiłowej do lasów w rejonie Brodów, gdzie polskie oddziały zostają otoczone i rozbijane przez wojska radzieckie. Następnie przedostaje się do Lwowa, aby po wielu perypetiach, w kwietniu 1940 r. znaleźć się w Chmielniku. Jednym z ostatnich opisanych wydarzeń jest wysiedlenie Żydów z tego miasteczka w październiku 1942 r.

Publikowany fragment obejmuje zwarty fragment wspomnień. Dokumentuje pobyt autora w ośrodku kształcenia podchorążych przy 4 P.P. Leg., od września 1938 r. do lipca 1939 r. Został wybrany jako związany z historią Kielc. Zobrazowano w nim codzienne życie rekrutów w koszarach na Bukówce oraz przebieg szkolenia na poligonie w Niwkach Daleszyckich. Zawarto również charakterystykę kadry oficerskiej i podoficerskiej. Tekst, z nierzadko negatywnymi ocenami, poszerza wiedzę na temat funkcjonowania wojska w Kielcach w ostatnich miesiącach przed II wojną światową.

¹ Roman Wolańczyk, syn Ferdynanda. Urodzony 3 lutego 1918 r. w Wolanowie. Ukończył Gimnazjum i Liceum Męskie im. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim. W czasie II wojny światowej członek komórki wywiadowczej Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Po II wojnie światowej student Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Naczelnik Wydziału Budżetowo-Administracyjnego Prokuratury Wojewódzkiej w Kielcach w latach 1960–1979. Zmarł 6 listopada 1987 r. w Kielcach. Odznaczony m.in. Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, odznaką „Za zasługi dla Kielecczyzny”.

Zachowano oryginalną stylistykę, modernizacji poddano jedynie interpunkcję, rozwinięto także niektóre z występujących w tekście skrótów. Zdarza się, iż autor pisząc „niemcy”, a mając na myśli niemieckich żołnierzy, stosuje pisownię z małej litery, zapewne chcąc podkreślić swój negatywny stosunek do armii niemieckiej. W takich przypadkach zapis poprawiono. Przypisy i kwadratowe nawiasy pochodzą od autora opracowania. Oryginał pamiętników znajduje się w posiadaniu rodziny autora.

*

Pamiętnik. Roman Wolańczyk. Obejmuje okres od: lato 1934.

Okres rekrucki

Kiedy któregoś dnia września 1938 r. odjeżdżałem z Ostrowca do wojska czułem się bardzo nieswojo, a matka całując mnie na pożegnanie pochlipywała z cicha. Nieswojo zaś czułem się bynajmniej nie dlatego, abym się lękał trudów wojskowych lub dyscypliny, gdyż byłem w trudach życiowych, nawet i fizycznych dość zaprawiony. Z dyscypliną też (nawet tą mechaniczną w formie koziej nóżki z rzemykami) nie raz się miało do czynienia w czasach wczesnego dzieciństwa. Ale oto wydawało mi się – i słusznie, że zaczyna się w moim życiu nowy, w nieznane wiodący etap, który Bóg to wie, co przyniesie.

Plany życiowe miałem zgoła inne. Chciałem się dostać na medycynę i nawet zdawałem egzamin na AM w Krakowie. Spośród nas trzech z naszej klasy tj. Mariana Ruszkarskiego i Edwarda Stojka ja jeden nie zostałem przyjęty. Tamci obaj mieli pierwszorzędne matury, a obowiązywał wówczas konkurs matur. Sam egzamin był raczej tylko formalnością. Po wysłuchaniu wykładu prof. Godlewskiego pisaliśmy wypracowanie na temat tkanki nerwowej i napisałem na ten temat niemało i niezłe. W roku 1938 obowiązywał przepis, że po maturze należało odbyć służbę wojskową, odroczeń zaś – z wyjątkiem studentom medycyny – nie udzielano.

W ten przeto sposób, jak większość moich kolegów z dawnej ósmej klasy znalazłem się w podchorążówce przy 4. P.P. Leg. w Kielcach. Dokładniej: zostałem elewem Dywizyjnego Kursu Podchorążych Piechoty przy 2. Dyw. P. Leg. w Kielcach². Ze stacji grupę rekrutów wiodł do koszar na Bukówce odległych od miasta o jakieś 6 km sierżant (jak się później dowiedziałem) Sierszeń.

Po ostrzyżeniu głów i wyfasowaniu umundurowania przydzielono nam łóżka i nastąpiła pierwsza zbiórka – po obiad. W ten sposób rozpoczął się ten nowy etap mojego życia. Byłem młody i zdrowy jak tur. Wszelkie początkowe ćwiczenia, które dla niektórych bardziej wychuchanych kolegów były uciążliwe, mnie nie sprawiały żadnego kłopotu, przeciwnie nawet mnie bawiły. Skoki, zwroty, padnij, powstań i różne inne figle przyjmowałem z uśmiechem i bez zmęczenia.

Porządek dnia był mniej więcej następujący:

- godz. 5.00 – pobudka
- 5.30–5.45 – gimnastyka
- 5.45–6.30 – śniadanie, sprzątanie
- 6.30–7.00 – apel poranny

2 Właściwie: Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy 2. Dywizji Piechoty Legionów przy 4. Pułku Piechoty Legionów w Kielcach. Uruchomiony w 1932 r. kurs trwał 10 miesięcy. Kandydatów przygotowywano na podchorążych w dwóch specjalnościach: dowódcy plutonu piechoty oraz dowódcy plutonu ckm.

- 7.00–12.00 – ćwiczenia
- 12.00–13.00 – obiad
- 13.00–16.00 – czas wolny
- 16.00–19.00 – wykłady
- 19.00–19.30 – kolacja
- 19.30–21.00 – czas wolny
- 21.00 – capstrzyk.

W jesieni cały porządek dnia ulegał opóźnieniu o jedną godzinę, gdyż pobudka była o 6.00, capstrzyk jednak zawsze był o godz. 21.00. W niedzielę obiad był o godz. 13.00, natomiast kolacja o... godz. 15.00. Paradoks ten istniał z tego powodu, ponieważ chodziło o udzielenie przepustek służbie obsługującej kuchnię. Najczęściej też w niedzielę nikt z żołnierzy nie jadł kolacji i była to tylko frajda dla żarłoków, którzy mogli nasycić się dowolną ilością repet.

Stan kompanii na samym początku liczył około 180 ludzi. Kompania dzieliła się na trzy plutony strzeleckie oraz pluton ciężkich karabinów maszynowych. Dowódcą szkoły był mjr [Boguchwał] Ogłaza a z kadry oficerskiej pamiętam kapitana dyplomowanego [Edmunda] Sikorskiego, zastępcę dowódcy, który przyszedł wiosną 1939 r. oraz poruczników [Franciszka] Salomońskiego, [Mieczysława] Osucha, [Tadeusza] Horodyskiego, [Ksawerego] Młodożeńca (jakiś czas pełnił służbę w kompanii por. [Stanisław] Maroszek).

Podoficerami byli:

- Szef kompanii st. sierżant St. Sobień
- Podoficer gospodarczy st. sierżant Bieganik

Instruktorzy:

- sierżant Sierszeń
- plutonowy Halota
- plutonowy Sawicki
- plutonowy Kozieja
- plutonowy Sobieraj
- kpr. Senyszyn
- kpr. Bilski.

Moimi bezpośrednimi dowódcami byli podporucznik Ksawery Młodożeniec oraz sierż. Sierszeń i kpr. Senyszyn.

Kompania nasza mieściła się w długim, jednopiętrowym budynku znajdującym się naprzeciwko dowództwa pułku. My to znaczy podchorążówka, zajmowaliśmy całe górne piętro oraz (pluton ckm) część dolnego. W pozostałej części budynku na parterze mieściła się kompania szkoły podoficerskiej. Naprzeciwko rozległego majdanu kwaterowało dowództwo pułku, obok w osobnym budynku areszt, wartownia i kantyna, a także m.in. słynna 4-ta kompania, słynna zaś dlatego, ponieważ była to kompania karna, w której bywało – służyły „wiarusy” po 5 lat i więcej. O tej kompanii będę miał jeszcze okazję napisać.

Życie nasze rekruckie było przeraźliwie nudne. Ćwiczenia wstępne były mało ciekawe. Ciągłe musztry, w polu zaś prymitywne ćwiczenia polegające na zapoznaniu się z sylwetką leżącego, biegnącego, stojącego itp., poza tym ciągłe zbiórki, nauka maszerowania, salutowania itd. Z ćwiczeń teoretycznych nauka o broni i jej czyszczenie, wstępne informacje o terenoznawstwie itp. Nudę pogłębiała okoliczność, że w okresie rekruckim nie wolno nam było opuszczać koszar, byliśmy więc skazani na pozostawanie w świetlicy, w której chrypiał w kącie

głośnik radiowy, albo w małej kantine. Ale mnie osobiście i kilku jeszcze kolegom powodziło się lepiej.

Z uwagi na to, że trochę paralem się muzyką, założyłem – za zgodą mojego dowódcy plutonu – zespół rewelersów, a nawet mały czterogłosowy chór i z zespołami tymi ćwiczyliśmy w kasynie oficerskim różne pieśni, głównie w związku ze zbliżającą się w dniu 29 listopada uroczystością święta podchorążych i mającą się w tym dniu odbyć przysięgą.

Partytury dla obu tych zespołów opracowywałem sam osobiście i to bez żadnego instrumentu. Robiłem to najczęściej po capstrzyku, w świetlicy (oczywiście za zgodą swego dowódcy). Muszę przy okazji pochwalić się, że np. „Warszawianka” wyjątkowo mi się udała i zostałem pochwalony przez dyrygenta pułkowej orkiestry, którego specjalnie zaproszono na próbę naszego zespołu, aby wydał werdykt, co do wartości naszych występów. Tak więc, gdy nasi koledzy bezustannie ćwiczyli krok defiladowy, my najczęściej siedzieliśmy w kasynie i ćwiczyliśmy nasze pieśni.

Nie znaczy to, że i my nie zakosztowaliśmy przyjemności ćwiczenia owego słynnego kroku defiladowego. Polegał on na unoszeniu bardzo wysoko wyprostowanej w kolanie nogi i dość miarowym, a na komendę „bacność” – bardzo mocnym przybiciu. Ponieważ zaś powtarzał się w nieskończoność (gdyż trzeba było wyczerpać przeznaczony na to ćwiczenie czas), przeto stanowił dla żołnierzy prawdziwy koszmar. Żaden cywil nie zdawał sobie pewnie sprawy ile wysiłku i przekleństw kosztowała żołnierzy kilkuminutowa defilada przed trybunami podczas różnego rodzaju świąt. Wtedy przed 29 listopada 1938 roku ćwiczenia były szczególnie zabójcze, mieliśmy bowiem, my podchorążacy, stanowić clou uroczystości, było to przecież nasze święto i na nas miały być zwrócone oczy społeczeństwa. Toteż tłukliśmy ów „paradenmarsch” bezlitośnie i przy każdej okazji.

Przysięga

Nadszedł wreszcie ów pamiętny dzień 29 listopada 1938 r. – święto podchorążych, mające się w tym roku – ze względu na 20. rocznicę niepodległości Państwa Polskiego – odbyć szczególnie uroczystie. Jużemy mieli okazję „wyjrzeć na świat”, ponieważ braliśmy udział w defiladzie z okazji święta narodowego w dniu 11 listopada. Przydała się nam umiejętność maszerowania, szliśmy na czele i stanowiliśmy kompanię honorową. Braliśmy też udział w nabożeństwie, które odprawiał biskup połowy ksiądz [Józef] Gawlina w katedrze kieleckiej.

Przysięga odbyła się w kościele garnizonowym w Kielcach. Ustawieni na cmentarzu wysłuchaliśmy mszy, a następnie złożyliśmy uroczystą rotę przysięgi, która na mnie osobiście zrobiła bardzo duże wrażenie.

Dzień był wtedy typowo listopadowy, ponury, wiatr szumiał wśród nagich już koron drzew, dziwny jakiś, nieokreślony smutek panował wokół, może w przeczuciu nadchodzących wydarzeń, byliśmy smutni i jacyś nieswoi. Ale nastrój rychło się poprawił, kiedy po zakończeniu nabożeństwa odmaszerowaliśmy do koszar na Bukówce, gdzie czekał nas bardzo przyzwoity i mocno zakropiony posiłek. Przypominam sobie, że uczestniczyło w tym obiedzie trochę cywilów, byli to przeważnie krewni kolegów pochodzących z Kielc. Wygłoszono jakieś przemówienia, a potem rozpoczęło się lekkie pijaństwo, w wyniku którego nastąpił taki incydent. Kilku podpitych kolegów chciało urządzić owację szefowi kom-

panii sierżantowi Sobieniowi. Trzeba nadmienić, że był to kawał chłopca, dobrze zbudowany i nieźle odpasiony, a zatem ciężki. Kiedy więc zaczęto podrzucać go do góry z wrzaskiem: Niech nam żyje 100 lat, zdarzyło się (może przez nieuwagę, a może z rozmysłem), że upuszczono Sobienia na podłogę i że się nieźle poturbował. Na drugi dzień po apelu porannym Sobień zjawił się z bandażem na głowie i po załatwieniu spraw urzędowych mrukliwym głosem powiedział: Dziękuję wam za te durne owacje, które żeście mi wczoraj zgotowali. Chcę wam tylko powiedzieć, żeście mi nie tylko łeb pokiereszowali, ale żem i na kieszeni stratę poniósł. Podczas tego głupiego podrzucania wyleciało mi 10 zł, które mi ktoś ukradł.

Wspominam o tym incydencie dlatego, ponieważ kradzież pieniędzy i innych artykułów była u nas niestety zjawiskiem nierzadkim, a my nie mogliśmy złapać złodzieja. Za to ponosiliśmy diabelnie surowe konsekwencje, ponieważ za kradzież 10 zł, i nie ujawnieniu sprawcy – bywało – cała kompania dostawała koszarняка i to przez okres 6 tygodni. Ale o tym później. Wieczorem tegoż 29 listopada 1938 r. w sali Teatru Miejskiego w Kielcach przy ulicy Sienkiewicza odbyła się uroczysta akademii. Na akademii był obecny m.in. dowódca dywizji płk [Edward] Dojan-Surówka³, a także, w drugiej łoży po lewej stronie siedział ówczesny nasz dowódca pułku płk Zygmunt Berling⁴, w otoczeniu innych oficerów pułku. Naturalnie część artystyczną uświetniał występ mojego chóru. Między innymi opracowaliśmy inscenizację znanej legionowej piosenki „Rozkwitały pąki białych róż”, która moim zdaniem wyszła bardzo dobrze. Na scenie chór z solistami, kolegą Leszkiem Issą oraz jakąś pani, która miała na imię Marysia. Ja za kulisami przy fortepianie.

Po akademii zaproszono nas kilku i tę panienkę – jako jedynaczkę – do restauracji „Bristol”. Fundatorem był ojciec naszego przemiłego kolegi Michała Proszkowskiego. Popiliśmy na tym bankiecie dość tęgą, potańczyliśmy, ale że na 24 godzinę należało być w koszarach, więc ja i kilku bardziej służbistych kolegów przeprosiliśmy towarzystwo, a reszta – kilku oficerów i paru kolegów oraz owa panna Marysia zostali się w restauracji.

Z „Bristolu” na Bukówkę było dobre 5 km drogi, musieliśmy „drałować” pie szo, bo za dorożkę trzeba było zapłacić co najmniej 3 zł, a nikt z nas nie miał tyle pieniędzy na głupstwa.

Ledwie zdążyliśmy się rozebrać, a ja nawet jeszcze nie zasnąłem, kiedy zauważyłem jak do naszej sali wkroczył major Ogłaza, dowódca szkoły i trzymając w ręku latarkę elektryczną zaczął sprawdzać obecność w łózkach uczestników bankietu. Kilku z nich nie zdążyło wrócić, więc podawał ich nazwiska stojącemu obok podoficerowi służbowemu, a tym, którzy wrócili sprawdzał czystość butów,

3 E. Dojan-Surówka (1894–1982). Podczas I wojny światowej służył w Legionach Polskich. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Dowódca 2. Dywizji Piechoty Legionów od kwietnia 1938 r. Jego postępowanie w pierwszych dniach II wojny światowej oceniane jest negatywnie. Jako jeden z pierwszych wojskowych (jeszcze przed atakiem ZSRR 17 września 1939 r.) znalazł się poza granicami II RP. Po wojnie na emigracji w Wielkiej Brytanii.

4 Z. Berling (1896–1980). Żołnierz Legionów Polskich. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Dowódca 4. Pułku Piechoty Legionów od marca 1937 r. do marca 1939 r. W czasie II wojny światowej wstąpił do armii tworzonej przez gen. Władysława Andersa. W czasie ewakuacji Armii Polskiej na Wschodzie podjął decyzję o pozostaniu w ZSRR. W 1943 r. mianowany przez Józefa Stalina dowódcą 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W 1944 r. otrzymał stanowisko zastępcy naczelnego dowódcy Ludowego Wojska Polskiego. Po wojnie m.in. szef Akademii Sztabu Generalnego, wiceminister leśnictwa.

płaszczu itp.

Nie wspominałbym o tym drobnym szczególe gdyby nie fakt, że charakteryzuje on sylwetkę naszego dowódcy, którego osobowość oceniałem całkowicie negatywnie. Czytając już po wojnie różnego rodzaju pamiętniki, między innymi pamiętniki wojskowych kojarzyłem sobie kreślone przez nich charakterystyki różnych oficerów, charakterystyki czasem ujemne, doszedłem do wniosku, że nasz major Ogłaza łączył w sobie maksimum cech negatywnych, o których nieraz jeszcze będą miał okazję opowiedzieć.

Tego wieczora i następnego dnia, a nawet chyba w ciągu trzech następnych dni nie wrócił do koszar uczestnik libacji Marian Siemiątkowski, który jak się to później okazało spiwszy się na owym bankiecie w Bristolu „prysnął” aż do Ostrowca, gdzie mieszkał i gdzie przez trzy albo cztery dni lizał rany po nadmiernym ochlaju.

Oczywiście po powrocie Marian poszedł do paki.

Po przysiędze

Nadeszła zima, a z nią inne trochę, choć wcale nie bardziej urozmaicone życie. Jakoś chyba na początku grudnia otrzymałem trzydniowy urlop i udałem się do Ostrowca, potem na Boże Narodzenie do Sosnowca, dokąd przenieśli się rodzice. Sprawa otrzymania urlopu ważyła się w tę i tę stronę, gdyż sytuacja polityczna mocno się skomplikowała.

Jak zwykle codziennie odbywaliśmy nasze ćwiczenia, a po południu wykłady. Jest rzeczą charakterystyczną, że podczas wykładów nigdy – aż do późnej wiosny – nie mówiło się na temat ewentualnego konfliktu zbrojnego z Niemcami.

Uzbrojenie mieliśmy prymitywne. Nawet nie wszyscy podchorążowie posiadali nowe, bardzo dobre polskie karabiny, część (a między innymi ja) ćwiczyła z mauserami. Co niedzielę i święta nasza kompania pełniła służbę wartowniczą, zazwyczaj przy prochowni przy magazynach m.o.b.[ilizacyjnych] na dzisiejszej ul. Słowackiego, no i w samych koszarach. Dni prawdziwie wyjściowe były rzadkie. W dzień normalny niby można było iść do miasta po zajęciach, to jest ok. godz. 17, ale z Bukówki nie było żadnej komunikacji. Kursował tylko jeden samochód pasażerski przywożący i odwożący oficerów i podoficerów mieszkających w mieście, ale dostać się na ten autobus, to było marzenie ściętej głowy.

Przypominam sobie, że któregoś dnia w zimie zachorowałem na grypę. Miałem 40 stopni gorączki i nie mogłem utrzymać się na nogach. Otrzymałem skierowanie na Izbę Chorych, która mieściła się w gmachu Leonarda w Kielcach. Kiedy prawie bez siły prosiłem aby zabrano mnie do autokaru, jakiś chorąży w sposób ordynarny odpowiedział mi: Odczepcie się do jasnej cholery. Jechać mu się zachciało! Wlokłem się te 4 kilometry blisko 3 godziny i dosłownie ostatkiem sił doznałem do tej nieszczęsnej izby chorych.

Z miasta można się było dostać dorożką konną, ceny jednak były zbyt słone na nasze żołnierskie kieszenie. Dorożka (lub w zimie sanki) kosztowały 3 złote. Jakże sobie mogłem pozwolić na taki luksus, kiedy otrzymywałem co miesiąc z domu 5 zł, które musiały mi wystarczyć na wszystko. Byli spośród nas tacy, którzy otrzymywali większe kieszonkowe: 10, 15, a nawet 20 złotych i więcej!, ale to byli ludzie zamożni.

Toteż w podchorążówce prowadziłem się nader cnotliwie, a wypilem sobie właściwie tylko raz, kiedy kolega mój Edek Sobiech dostał z domu 10 zł i za-

prosił nas na wódkę. Poszliśmy – jak pamiętam – do „Europy”⁵ i spożywalismy naszą kolację w barze, gdzie było taniej. W sąsiedniej sali grała orkiestra, knajpa była dość przyjemna, czysta i towarzystwo też nienajgorsze, ale nie dla nas.

Żywoć pędziliśmy purytański. Były dziewczęta, owszem, ale nie było specjalnego łądactwa. Sam miałem sympatię – Krysię, ładną dziewczynkę, z którą chodziłem na spacer do parku lub na Stadion. Wszystko to jednak mieściło się w granicach dużej przyzwoitości. Za cały okres służby wojskowej w podchorążówce był tylko jeden przypadek „złapania” trypra⁶. Wysłano tego delikwenta (M. P.) do Przemyśla, gdzie był szpital okręgowy i po sześciu tygodniach bolesnego leczenia wrócił do koszarowych pieleszy klnąc na wszystko dookoła, a najbardziej na siostry szpitalne, które nie tylko, że szprycowały go protalgolem, ale jeszcze ciągle naigrawały się z jego dolegliwości mówiąc: Nie trzeba p..., to nie będzie boleć.

Uzbrojenie kompanii piechoty w owym czasie było skromne. Plutony strzeleckie posiadały po 1 rkm-ie w drużynie żołnierze zaś byli uzbrojeni w długie karabiny typu „mauser” najczęściej z wżerami w lufach jak wszyscy diabli. W plutonie ckm było 3 ciężkie karabiny maszynowe, żołnierze zaś mieli już bardziej nowoczesne i niezłe, polskie krótkie kb-ki⁷. Rzadko do wyposażenia należał bagniet, łopatka (saperka), maska gazowa i hełm. Kilka razy ćwiczyliśmy z granatnikami i moździerzami, ale sprzętu tego na codziennych ćwiczeniach nie było, natomiast miało być go pełno w magazynach m.o.b.[lilizacyjnych]. Nie wiem czy istotnie tak było. My wszelako na ćwiczenia chodziliśmy z drewnianymi (!) granatnikami. Ostre strzelań było niewiele. Amunicja używana do strzelań była stara i – jak przypuszczam, a przypuszczenie to za chwilę uzasadnię – była przedmiotem nieznanych mi bliżej kombinacji naszego dowódcy, majora Ogłaza.

Wniosek swój uzasadniam następująco: któregoś dnia w plutonie ckm zdarzył się przykry wypadek. Podczas strzelania z ckm-u pokrywa jego uderzyła w twarz obsługującego ckm żołnierza raniąc go boleśnie i dość poważnie. Oczywiście jak to w takich razach bywa, zjechała z Przemyśla komisja śledcza, między innymi także rusznikarze. Z tego, co nam się dostało do wiadomości, dowiedzieliśmy się, że przyczyną wypadku była stara amunicja. Pocisk ze starym prochem nie opuścił lufy, gdy już drugi eksplodował wysadzając pokrywę. Rozeszły się pogłoski, że Ogłaza robi oszczędności na amunicji, za co otrzymuje premie. Dlatego do strzelania daje ciągle jakąś starą amunicję. Istotnie, kiedy komisja zjechała, Ogłaza ukrył w lesie kilkanaście pak amunicji karabinowej. Ja sam osobiście byłem wyznaczony do pilnowania kilku skrzynek, które zwróciliśmy do magazynu po odjechaniu komisji.

Wiosną 1939 sytuacja polityczna zaostrzyła się bardzo. U nas ciągle te same ćwiczenia: obrona – natarcie, szperacze, czujki, czaty, placówki. Ani słowa o stopniu przygotowania Niemców do wojny, o rodzaju posiadanych przez nich broni. Gdzieś chyba w drugiej połowie kwietnia mieliśmy wyruszyć na letni obóz do Niwek Daleszyckich. Przedtem jeszcze wspomnę o ważnym wydarzeniu, jakim była zmiana na stanowisku dowódcy pułku.

Jak już wspomniałem dowódcą naszego 4. P.P. Leg. był płk Zygmunt Berling,

5 Hotel Europejski mieszczący się przy ul. Dużej

6 Slangowe określenie choroby wenerycznej.

7 Karabinki wz. 29, produkowane w latach 30. w fabryce broni w Radomiu.

późniejszy naczelny dowódca wojska powstałego w ZSRR. Do nas podchorążych docierały mgliste informacje o rzekomych nieporozumieniach jakie miały miejsce między płk. Berlingiem, a ówczesnym dowódcą dywizji płk Dojan-Surówką. Nieporozumienia te miały doprowadzić do przejścia płk Berlinga w stan spoczynku. Wczesną wiosną 1939 r. pożegnaliśmy uroczyście, acz z pewnym żalem płk Berlinga (uroczystość odbyła się na majdanie koszarowym). Dowództwo przejął młodszy chyba od Berlinga płk [Bronisław] Laliczyński⁸. Niskiego wzrostu, bardzo energiczny odznaczył się tym, że z miejsca wziął do galopu przede wszystkim szarżę oficerską. Zaprowadził dyscyplinę wśród oficerów i to pod każdym względem, począwszy od właściwego noszenia pistoletów, sposobie salutowania, a skończywszy na próbach wyeliminowania bezmyślnego znęcania się nad żołnierzami.

Mówię o próbach, gdyż efekty tych posunięć Laliczyńskiego skończyły się paskudnie dla nas żołnierzy. Takiej bowiem szkoły, jaką dostaliśmy, później nie mieliśmy nigdy, a wątpię, czy dzisiejsi żołnierze mają o tym pojęcie. Już po owym wypadku ze zranionym żołnierzem w czasie ostrego strzelania z ckm między Oglazą a dowódcą plutonu ckm por. Franciszkiem Salomońskim doszło do nieporozumień, które fatalnie odbiły się na żołnierzach zwłaszcza z plutonu ckm. Oglaza na każdym kroku dokuczał Salomońskiemu, znęcał się nad całą kompanią i był z kolei prostowany przez dowódcę pułku. Wielokrotnie byliśmy świadkami gorszących scen, kiedy to płk Laliczyński zwracał przy wojsku uwagę Oglazie na niewłaściwe wyszkolenie żołnierzy w zakresie musztry. Oglaza wściekły mścił się na oficerach, najczęściej na Salomońskim, a ten z kolei przeganiał mój pluton.

Przyszły Święta Wielkanocne. Do kompanii przydzielono kpt. Sikorskiego na stanowisko zastępcy dowódcy kompanii. Był to żołnierz poważny, solidny i bardzo prawy. Prowadził z nami wykłady i dopiero od niego z przerażeniem dowiedzieliśmy się o wyposażeniu armii niemieckiej, o broni pancernej, jej roli w nowoczesnej wojnie, o skutkach zmasowanego ataku lotniczego, o artylerii i o wielu innych szczegółach nowoczesnej walki, o której my, przyszli oficerowie, na parę miesięcy przed wojną nie mieliśmy najmniejszego pojęcia.

Podczas całej naszej służby wojskowej nie widzieliśmy (aż do wybuchu wojny) ani jednego czołgu, dwa razy ćwiczyliśmy z udziałem artylerii, czasem widzieliśmy na niebie samolot, a nasz jedyny „zmotoryzowany” sprzęt, to były biedki⁹ na ckm-y, ciągnięte przez konie.

Na skutek zaostrzenia się sytuacji politycznej coraz częściej w rozmowach prywatnych poruszaliśmy sprawę wojny z Niemcami. Patriotyzm i duch wojenny wśród żołnierzy był ogromny. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło abyśmy nie wygrali wojny. Wprawdzie wykłady kapitana Sikorskiego budziły refleksje. Dysproporcje sił były wyraźne. Ale nawet i kapitan zdołał nas przekonać, że w polskich warunkach terenowych, przy zachowaniu wojennej taktyki Piłsudskiego, Niemcy nie mogą z nami wojny wygrać i jej nie wygrają.

8 B. Laliczyński (1897–1966). Służył w Legionach Polskich, gdzie należał do grona najmłodszych oficerów. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. W dwudziestoleciu międzywojennym m.in. pełnił funkcje dyrektora Centralnej Szkoły Strzelniczej oraz komendanta Centralnej Szkoły Podoficerskiej KOP w Osowcu. Dowódca 4 P.P. Leg w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. Po kapitulacji dostał się do niewoli, z której wyszedł w maju 1945 r. Po wojnie osiadł w Londynie, gdzie sprawował m.in. funkcję prezesa Koła Czwartaków.

9 Biedka – wózek, dwukołowy, jednokonny, używany jako pojazd gospodarski lub wojskowy.

Niwki Daleszyckie

Zgodnie z planem, w drugiej połowie kwietnia wyruszyliśmy na obóz do Niwek Daleszyckich. Obóz położony był w lesie, około 4 km od Daleszyc. Żołnierzy rozlokowano pod namiotami. Naszą kompanię podchorążych wzbogacono o pewną ilość żołnierzy i oficerów z 2 P.P. Leg. z Sandomierza, a także... Niemców. Tak, oryginalnych szwabów zupełnie słabo mówiących po polsku.

Były to rosłe i tłuste chłopiska wywodzące się z kolonistów niemieckich z okolic Bydgoszczy. Patrzyli na otoczenie spode łba. Trzymali się razem, między sobą szwargotali wyraźnie po niemiecku. Nigdy nie przypuszczałem, że taką zarazę gościimy w Polsce. Mieliliśmy ich porządnie na oku, nie byli oni jednakże do końca naszego pobytu w Niwkach, gdyż gdzieś ich później zabrano.

Pobyt w obozie w Niwkach dał nam i mnie osobiście wiele do myślenia. Zamiast intensywnych ćwiczeń taktycznych, zamiast intensywnego szkolenia teoretycznego – karczowanie lasu! A był to już maj i czerwiec 1939 r.! Ćwiczenia, a jakże były również, wszelako karczunek lasu – pod osobistym dozorem majora Ogłazy odbywał się codziennie. Pan major musiał mieć w tym specjalny interes, bowiem przy łada okazji skazywał żołnierzy na dodatkowe karczowanie pniaczków.

Ja sam „skazany” zostałem jednego razu na wykarczowanie pniaczka. Wyglądało to tak. Po ćwiczeniach, kiedy ferajna rozeszła się do namiotów, pan major osobiście pofatygował się, aby mi towarzyszyć przy karczowaniu pniaczka. Pniak był niełichy, zaś jedyne czym dysponowałem była krótka saperka łopatką. Do roboty zabrałem się o godzinie 17, to jest w czasie wolnym od zajęć. Major cały czas stał nade mną. Tą łopatką trzeba było nie tylko kopać ziemię, ale również podcinać i przecinać korzenie. Około godziny 20 byłem dopiero w połowie roboty. Zrobiło się ciemno. Major poszedł do domu po latarkę i świecę mi przez cały czas doradzał: Z tej strony podważ, o tu korzonek przeciąć, mocniej, uważniej, głębiej, silniej, ciach go, itp. itp. O godzinie wpół do jedenastej w nocy skończyłem wreszcie robotę i poszedłem spać. A za co to wszystko?

Otóż miałem w drużynie żołnierza z 2 P.P. Leg. nazwiskiem Szczytro. Był to Ukraińiec i normalnie jesienią powinien wyjść z wojska. Ten typ żołnierza (tj. taki, któremu kończy się służba i który o wojsku wie wszystko) jest na ogół ciężki do prowadzenia. Przeto nam, podchorążym przydzielono takich właśnie żołnierzy, zapewne słusznie wychodząc z założenia, że jeśli sobie damy radę z nimi to tym bardziej z młodymi.

Ale ten Szczytro to był kawał diabła. Wszystko robił na opak, żadnych rozkazów nie słuchał, butów nie czyścił, menażki nie mył, łóżko słał byle jak, był bałaganiarzem ponad wszelką możliwość! A każdy najprostszy rozkaz wykonywał jakby miał nogi i łapy zamoczone w smole. Oczywiście Szczytro nie miał też zamiaru czyścić karabinu i innego żołnierskiego oporządowania.

Kilka razy major przeprowadzając inspekcję w namiocie wydierał się widząc bałagan koło łóżka tego mojego draba: Na Boga, kto rządzi tą drużyną. A ja ze wstydu i złości nie raz chciałem się zapaść pod ziemię. Nie stawiałem tego draba do raportu, bo mi go było po prostu żal. Kiedyś, kiedy odmówił wykonania jakiegoś rozkazu tłumaczyłem mu, że może go czekać sprawa sądowa i że będzie potem odsługiwać to, co dostanie. Wszystko na nic.

Któregoś dnia major znowu wlaźł do mojego namiotu i za brudne buty tego bęcwała wpakował mi 1 dzień aresztu z zamianą na wykarczowanie jednego

pniaćka. Za to ja z kolei wpakowałem Szczytra do raportu i wrzepili mu dwa dni ścisłego z zamianą na 4 godziny stójki przed karabinem z pełnym obciążeniem.

Taki facet zakładał wyjściowy mundur, ubierał się w hełm, do plecaka ładowało mu się 32 kg cegieł lub kamieni i musiał stać na baczność, bez ruchu najpierw dwie godziny, a na drugi dzień znowu dwie godziny. Miejsce stójki wyznaczono mu obok latryn, było tam masę much, a nadto wiele komarów. Pilnował go któryś z podoficerów i od niego zależało czy mu stójkę zaliczyć czy nie. Jeśli się ruszył leciutko, mógł mu podoficer całej stójki nie zaliczyć i wszystko zaczynało się od nowa. Oczywiście w ten sposób można było człowieka zadrzeć na śmierć.

Przechodząc obok Szczytra i widząc jak się męczy – bo upał był tego dnia dłuższy i cięty go komary – ogromnie mi się go zrobiło żal, choć on się diabelnie cieszył kiedy jego drużynowy męczył się przez 5 godzin z pniakiem. Ale nic nie mogłem poradzić. Szczytro stójkę odbył, lecz czułem, że w swojej ponurej duszy zaprzysiągł mi straszliwą zemstę. Nie przypuszczałem wówczas, że los mnie z nim kiedyś zetknie, i to w jakich okolicznościach!

Atmosfera w wojsku stawała się coraz cięższa i coraz bardziej nieprzyjemna. Przyczyną tego były nieustanne tarcia Ogłazy z Salomońskim, co odbywało się na plutonie ckm. Dostawali oni takiego potwornego łupnia, że po prostu rzadko który z nich kiedykolwiek się śmiał. Ciągłe nocne alarmy, ciągłe ćwiczenia, a w czasie ćwiczeń tarzanie się po ziemi, po błocie i wodzie i tak w kółko.

W wojsku przy okazji ćwiczeń można zadrzeć ludzi. Ale najłatwiej i najniewinniej można to uczynić ćwicząc tzw. luźną musztrę. Polega ona na rozwijaniu różnych szyków i dokonywaniu w tych szykach zwrotów. Jeśli zatem pluton maszeruje w tyralierze a dowódca wyda rozkaz marszu w prawo to żołnierz stojący na lewym skrzydle musi obieć półkołem kilkaset metrów. Jeżeli teraz ten żołnierz dźwiga podstawę ciężkiego karabinu maszynowego, a złośliwy dowódca wyda rozkaz kilku kolejnych zwrotów w prawo to może „wybrańca” zamęczyć na śmierć. Taki właśnie wypadek miał u nas miejsce z kolegą Marianem Sołtysakiem (późniejszym „Barabaszem”). Nie skończył się on wprawdzie śmiercią – na szczęście, gdyż kolega ten oddał Polsce w czasie okupacji wielkie zasługi dowodząc dużym i słynnym w kielecczyźnie oddziałem partyzanckim¹⁰. Tym niemniej Marian zemdłał, co wzburzyło do żywego wszystkich kolegów.

Kiedy Gienek Fąfara¹¹ chciał pomóc Marianowi i wziąć na swoje barki tę niewczesną podstawę, dowódca mu nie pozwolił mówiąc: Zostawcie go niech zdycha ten sk...

W jakiś czas po tym wypadku – byliśmy akurat wówczas na ćwiczeniach w polu – ogłoszono alarm. Przyjechał z Kielc pułkownik Laliczyński i po odebraniu raportu zatrzymał szkołę podchorążych zwalniając pozostałych żołnierzy i oficerów, łącznie z naszymi. Odeszliśmy do lasu, pułkownik kazał nam usiąść

10 M. Sołtysiak (1918–1995). W czasie kampanii wrześniowej walczył w 4 P.P. Leg. W listopadzie 1939 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. W lutym 1943 r. rozpoczął tworzenie oddziału partyzanckiego Armii Krajowej, który przyjął nazwę „Wybraniec”. Po wojnie aresztowany i osadzony w więzieniu w latach 1949–1954.

11 Eugeniusz Fąfara (1917–1999), uczestnik kampanii wrześniowej, komendant opatowski Związku Walki Zbrojnej, a od 1941 r. komendant Batalionów Chłopskich. Działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wiceprezes Krajowej Komisji do spraw byłych żołnierzy BCh przy Naczelnym Komitecie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Autor książek: „W Świątokrzyskiej partyzancie”, Warszawa 1969, „Wojnar i jego żołnierze”, Białystok 1976 i „Gehenna ludności żydowskiej”, Warszawa 1983.

i rozpoczął dziwne przemówienie, przyczym czuliśmy, że zmierza do czegoś.

Rozpoczął od sytuacji politycznej, a w szczególności od postawy i zachowania się żołnierzy i narodu Czechosłowacji wobec aneksji tego państwa przez Niemcy. Wskazywał na brak patriotyzmu i bierność armii czeskiej, która bez jednego strzału oddała kraj na łup Hitlerowi. Mówił o odwadze i pytał czy naszym zdaniem u nas w Polsce coś podobnego mogłoby się wydarzyć. Oczywiście chórem i pojedynczo odpowiadaliśmy, że absolutnie nie, że Niemcy natrafią na opór i zaciętość żołnierza polskiego.

W pewnym momencie Laliczyński zakomunikował: Baczność! Wszyscy poderwaliśmy się i staliśmy bez ruchu dłuższą chwilę. Laliczyński przechadzając się powoli przed frontem kompanii i pilnie patrząc w oczy żołnierzom zapytał nagle: Kto z was napisał do mnie list? Zdumienie było powszechne. Jaki list i na jaki temat?

Laliczyński milczał i czekał na odpowiedź. Nikt się nie zgłaszał. Polecił sprawdzić dokładnie czy są wszyscy, a każdą nieobecność wyjaśnić ustalając gdzie są nieobecni. Ciągłe nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Nastrój stał się przynębiający. Do czego on zmierza?

Wreszcie pułkownik wyjaśnił: Przed kilku dniami miała tu u was w obozie miejsce rzecz skandaliczna. Podczas ćwiczeń jeden z oficerów sponiewierał godność żołnierza a także w sposób absolutny przekroczył swoje uprawnienia maltretując żołnierzy podczas ćwiczeń. Jestem bezwzględny przeciwnikiem tego rodzaju kapraleskich metod szkolenia i oficer ten zostanie ukarany. Nie będę w żadnym przypadku tolerował takich metod i takich przełożeń. Ale list był anonimowy. Chcę znać jego autora, któremu włos z głowy nie spadnie, co zaręczam uroczyście. Chodzi jednak o odwagę. Mówiliśmy przed chwilą na ten temat sporo. Czy sądzicie, że jest jakaś różnica między odwagą bojową, a cywilną. Pytam więc raz jeszcze, kto napisał do mnie list.

Wszyscyśmy doskonale już teraz wiedzieli, o co chodzi. Spojrzałem na Mariana. Stał z opuszczoną głową, zaczerwieniony. Czulem, że mu jest głupio. Przecież to wszystko jego dotyczyło. Przypuszczaliśmy, że on ten list napisał. Tymczasem nikt się nie zgłaszał. Pułkownik wtedy zaczął wyjaśniać, że on bezwzględnie musi dotrzeć do autora listu. Biada jednak temu, który go napisał i sam się nie zgłosi. Jeżeli autor listu zostanie ustalony przeze mnie – powiedział Laliczyński – to pamiętajcie, że lepiej, aby się był ten człowiek nie urodził. Wy wiecie ile może dobrego lub złego uczynić pułkownik w dzisiejszej Polsce. Bez ogródek wam mówię, że temu człowiekowi złamię życie.

Kto u diabła napisał ten nieszczęsny list? Niechże wyjdzie i zgłosi się, bo atmosfera stała się już tak napięta, że nie można było wytrzymać. Wreszcie, między plutonem ckm zrobił się jakiś ruch. Kolega Henryk Wroński zgłosił się do pułkownika i oświadczył, że wyjawia autora listu, lecz prosi o dyskrecję. Pułkownik się zgodził, a już w pół godziny później dowiedziałem się, że list ten napisał kol. Leszek Sztajnhof (ponoć zginął później na wojnie).

Pułkownik nam podziękował i oświadczył na zakończenie, że powinniśmy pamiętać o zasadzie praworządnego postępowania. Praworządne zaś postępowanie to nie droga anonimów, lecz droga raportów służbowych, aż do raportu dywizyjnego włącznie. Zapewniał, że włos nie spadnie z głowy żołnierzowi, który w słusznej sprawie – tak jak ta obecnie – złoży skargę na swego dowódcę.

Tego samego dnia odbyła się w polowym kasynie odprawa oficerów. Efekty

tej odprawy nie kazały na siebie długo czekać. Już na drugi dzień pluton ckm dostał takie lanie, jakiego świat nie widział. Następnej nocy mieli kilka alarmów, a trzeba wiedzieć, że te alarmy były o tyle męczące, że należało ubrać konie w uprzęż, załadować ckm na biedki i w pełnym rynsztunku stawić się najczęściej przed kasynem, skąd dowódca plutonu (najczęściej na bańce) wychodził i po odebraniu raportu zwalniał pluton po to, aby za 2 lub 3 godziny powtórzyć zabawę.

Ogłaza, który z pewnością nasłuchiwał się wielu cierpkich uwag, przechodził sam siebie i nieraz w obecności żołnierzy, odbierając apel wykrzykiwał – po przeglądzie plutonu ckm – Na Boga! Kto rządzi tym plutonem! Powodem tej tragicomicznej farsy był najczęściej niedopięty guzik lub przekrzywiony orzełek. Każdy taki okrzyk drogo potem kosztował naszych kolegów. Wracali z ćwiczeń z wywieszonymi jęczorami, pomęczeni do ostatnich prawie wytrzymałości.

Jakie były ostateczne reperkusje tego całego incydentu – nie wiem, ale to wiem na pewno, że Sztajnhof wyleciał do pułku i szkoły podchorążych nie skończył.

W lipcu wróciliśmy do koszar, otrzymaliśmy promocje i po kilkudniowym urlopie rozjechaliśmy się do macierzystych pułków. Ja pojechałem do Jarostawia z przydziałem do 5. kompanii 3 P.P. Leg.

Żeby zakończyć ten rozdział wspomnień podam kilka szczegółów dotyczących charakterystyki kadry oficerskiej i podoficerskiej, kilku sylwetek kolegów oraz parę obrazków charakteryzujących nasze życie koszarowe. Niech kiedyś, ktoś interesujący się historią kieleckiej podchorążówki czerpie do woli z tego skromnego materiału.

O naszych najwyższych dowódcach niewiele mogę powiedzieć. Jeden raz widziałem dowódcę dywizji płk Dojan-Surówkę. Wiem, że w czasie wojny, już w trzecim dniu gdzieś się zawieruszył i odnalazł się potem za granicą. Dowodził dywizją podczas wojny płk [Antoni] Staich¹², który spisywał się bardzo dzielnie podobnie jak wszyscy dowódcy pułkowi 2. Dywizji Piechoty Legionów pułkownicy: Laliczyński (4 P.P. Leg.), płk [Ludwik] Czyżewski (2 P.P. Leg.) i płk [Jan] Berek (3 P. P. Leg). Pułkownik Berling rzadko miał z nami styczność. Poważny, czynił na mnie wrażenie bardzo surowego oficera.

Płk Laliczyński podobał mi się bardzo. Za jego czasów wybitnie polepszyło się jedzenie a także umundurowanie. O ile wyjściowe mundury były jakie takie, o tyle mundury polowe były zupełnie do niczego. Łata na łacie. Laliczyński w czasie swojego krótkiego dowodzenia wiele zmienił na lepsze.

Mjr Ogłaza – dowódca szkoły – to postać bardzo antypatyczna. Właściwie mogę z ręką na sercu stwierdzić, że żadnej pozytywnej cechy u tego oficera nie można się było dopatrzeć. Zarozumiały i nerwowy, nieprzystępny i złośliwy, podejrzliwy, kiepski wykładowca, równocześnie wyznawca szkoły „dawania w kość”. Być może miał on jakieś przeżycia osobiste, może jakieś przykrości służbowe, w każdym razie fatalnie się to wszystko odbijało na nas, jego wychowankach. Mam wrażenie, że człowiek ten cieszył się formalnie, jeśli tylko

12 A. Staich (1894–1959). W czasie I wojny światowej służył w 4 P.P. Leg. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. 8 września 1939 r., po dezercji E. Dojan-Surówki przejął dowodzenie nad 2. Dywizją Piechoty Legionów. Brał udział w obronie Obszaru Warownego Modlin. Po kapitulacji trafił do obozu jenieckiego. Po zakończeniu wojny zamieszkał w Kielcach.

mógł komuś sprawić przykrość. Kiedyś, już po wojnie, jeden z naszych kolegów szkolnych z wojska Tadeusz Maj („Łokietek”) w audycji telewizyjnej powiedział parę przykrych uwag pod adresem Ogłazy i spotkał się z gwałtownym protestem ze strony jego rodziny. Niestety słowa kolegi były absolutnie prawdziwe, a ocena jego postawy w czasie wojny prawidłowa.

Pamiętam, że kiedyś był już w Jarosławiu i po wybuchu wojny zjawił się dokładnie w dniu 9 IX mjr Ogłaza w koszarach 3 P.P. Leg – wiele mówiono o tym, że pozostawił on w Kielcach magazyny m.o.b.[ilizacyjne], mimo iż z powodzeniem mógł nie dopuścić, aby dostały się one w ręce Niemców. Tytuł żołnierzy nie miało broni! Dla charakterystyki tego człowieka opowiem przypadek, który miał miejsce (o ile dobrze pamiętam) wiosną 1939 roku.

Otóż pewnego dnia major zapowiedział, że na drugi dzień odbędzie się ślub por. O., że życzy on sobie, aby jak największa ilość podchorążych udała się do ich kościoła garnizonowego, aby wziąć udział w uroczystości. W tym okresie nasza podchorążówka odbywała jeden z permanentnych koszarniaków. Był to wtedy akt łaski ze strony pana majora. Zwalniał nas z koszarniaka za cenę uświetnienia ślubu swojego oficera. Zgłosiło się tedy kilkunastu kolegów po przepustki, ale na ślub poszło tylko dwóch lub trzech, reszta korzystając z wolności rozlaża się po mieście do rodzin i znajomych. Ja na tym ślubie nie byłem. Tego dnia miałem służbę podoficera służbowego kompanii.

Na drugi dzień rano, ok. godziny 5 przyszedł Ogłaza do koszar. Na jego widok rozpocząłem meldowanie się, ale on przerwał mi w pół zdania i rozkazał: Ogłoszenie alarm. Kiedy chciałem skończyć zdanie, poczerwieniał aż mu oczy nieomal nie wyszły z orbit i ryknął: Ogłoś alarm ch... Myślałem że mnie szlag wtedy trafi ze złości za to chamstwo, ale złapałem za gwizdek i ogłosiłem alarm.

Ogłaza cały czas laził po korytarzu i ciągle patrzył na zegarek. Koledzy znając typa dobrze i widząc, a raczej czując w powietrzu burzę ubierali się jak szaleni i w przepisowym terminie wybiegli na dziedziniec. Ogłaza z anielską miną i głosem pełnym zakłamaną słodyczą odezwał się: Kto był na ślubie por. O. wystąp. Wystąpili naturalnie wszyscy. Major poszkarlatniał. Głosem jeszcze bardziej słodkim i jeszcze cichym zapytał pierwszego z brzegu kolegi:

- Sztobryń byliście na ślubie por. O.?
- Tak jest panie Majorze.
- Domański?
- Tak jest panie Majorze. I tak aż do końca.

Majora trafił szlag. Rozpoczął się taniec. Najpierw biegliśmy z 5 razy naokoło dziedzińca, potem padnij, w prawo zwrot, czołgaj się, w lewo zwrot, czołgaj się, powstań, biegiem marsz, padnij, w tył zwrot, czołgaj się, w tył zwrot, w lewo, w prawo zwrot i tak dalej, przez godzinę, potem marsz i śpiew. Zaśpiewaliśmy mu „miałeś chamie złoty róg”. Major zaklął i dalej nas gonić i znów to samo. Marsz i śpiew. Miałeś chamie złoty róg... Już wyszedł cały pułk na gimnastykę poranną, a my ćwiczymy. Przeganie nas i nawet sam, na krótkich nóżkach biegnie coraz nas rzucając twarzą o ziemię. Padamy na twarze odwracamy się (a to dość trudne w tej pozycji, bo z karabinem), robimy potem przysiady i znów biegi, a potem marsz i śpiew. Miałeś chamie złoty róg, śpiewamy – wierzcie mi – już tym razem rozbawieni. Bestia nie daje za wygraną. Znowu ryjemy nosami ziemię i znów mu śpiewamy to samo.

Cały pułk teraz się na nas gapi. Sympatia żołnierzy jest po naszej stronie.

Nic nam nie zrobisz panie majorze! Zawziętość dodaje nam siły. Jesteśmy nie do zdarcia. Ustąpił, bo musiał. Na pewno sobie ulżył. My też.

Potem zarządził koszarniaka, tylko twardszego. Na kilka metrów przed koszarami był rowek. Wolno wychodzić tylko do tego rowka. Na dziedziniec wstęp wzbroniony. I tak przez kilka tygodni. Nie można było nawet pójść do kantyny. W każdą niedzielę służba wartownicza.

Wytrzymało się.

Nasi podoficerowie twierdzili, że ten nasz rocznik to żyje w błogostanie. W poprzednim roku miało być znacznie gorzej. Jeśli tak, współczuję tamtemu rocznikowi.

O zastępcy dowódcy szkoły kapitanie Sikorskim mogą powiedzieć wszystko, co najlepsze. Był on podobno przedtem w ataszacie¹³ polskim w Berlinie i stąd jego doskonała znajomość spraw niemieckich. Jego wykłady były niezwykle ciekawe, on sam zaś reprezentował w naszych oczach wzór oficera!

Również pozytywnie oceniam wszystkich pozostałych oficerów, choć każdemu zdarzało się nam dać od czasu do czasu w kość. Żaden z nich jednak nie był małpio złośliwy jak Ogłaza, a dawanie w tyłek było najczęściej usprawiedliwione koniecznością niezbędnej przecież w wojsku dyscypliny. Toteż z przyjemnością wspominam por. Osucha, Horodyskiego, Młodożeńca, a także Salomońskiego. Wszystkich ich lubiłem i według mojej oceny wszyscy oni byli dobrymi oficerami.

Jeśli chodzi o podoficerów to parę słów trzeba poświęcić w pierwszym rzędzie szefowi kompanii st. sierżantowi Sobieniowi. Służył on ponoć w austriackiej armii i hołdował austriackiemu drylowi. Twierdził zawsze, że obecne, nasze polskie wojsko jest rozpieszczone, zwłaszcza zaś żołnierze mają zbyt dużo czasu. Według niego żołnierz, jeśli już absolutnie nic nie ma do roboty, to powinien czyścić karabin i oporządzenie. Taki żołnierz był miły jego sercu, toteż jeśli tylko Sobień się zbliżał, każdy go dość wcześnie zauważył, chwytając szybko karabin i ściereczkę lub wyciorem go pucował. Ten zaś, którego Sobień zastał na czytaniu albo spokojnie palącego papierosa, był sadzany przez szefa 15 razy na ziemię i zapędzany do czyszczenia broni.

Nie znosił nieróbstwa, a zwłaszcza cwaniactwa i bumelanctwa, na których się znał jak nikt na świecie. Przed Wielkanocą w 1939 r. szef ogłosił, że ci spośród żołnierzy, którzy zamierzają iść do spowiedzi wielkanocnej mogą otrzymać przepustki (mieliśmy właśnie koszarniaka). Oczywiście zgłosiła się prawie cała kompania, bo tęskno nam było za znajomymi i miastem. Do Kielc poszliśmy w zwartym ordynku, natomiast powracano indywidualnie, co było rzeczą zrozumiałą, gdyż trudno było sobie wyobrazić spowiedź wszystkich na komendę i w jednym czasie.

Ale szef dobrze znał żołnierzy i od razu się domyślił, że ze spowiedzi skorzystało najwyżej parę osób, a reszta rozlaźla się po rodzinach i znajomych. Przeto na drugi dzień rano, pochwaliwszy religijny zapał młodzieży oświadczył, że ci którzy byli u spowiedzi pójść teraz w oddziale do kościoła do komunii i razem wrócić, ci zaś którzy nie byli u spowiedzi będą mieli wolne. Zgłosiło się około 10 kolegów i tych wyprowadził do Kielc z kapralem.

Ledwie to bractwo wylazło za bramę szef zebrał resztę i powiedział: Ocy-

13 Ataszat – biuro przedstawicielstwa dyplomatycznego.

ganiliście mnie i wcale żeście u spowiedzi nie byli. Żeby wam nie było nudno, to do czasu aż tamci wrócą przećwiczymy sobie to i owo. Zebrał całe wojsko za koszarami, żeby uniknąć oczu Laliczyńskiego, który takich zabaw nie lubił i pogonił bractwo w tany. Jednakże po półtorej godzinie przydybał go pułkownik i przerwał zabawę, opieprzywszy Sobienia za nieprzewidziane ćwiczenia.

Inni podoficerowie byli w miarę na miejscu i porządni. Oczywiście nie obywało się bez głupich żartów i różnego rodzaju przycinków, jak na przykład pod adresem pewnego kolegi, inż. Beraka, któremu jeden z sierżantów powiedział: Berak, wy jesteście chemik, to się na tych rzeczach znacie, uporządkujecie dzisiaj wychodek.

I mnie się przydarzyła niewielka przegonka, po której jeszcze dzisiaj bołą mnie wszystkie kości. Oto pan kapral [Roman] Bilski był w złym humorze, a miał z nami akurat ćwiczenia (trójkąt błędu) – kiedy panowie oficerowie lub podoficerowie są źli to albo karzą śpiewać, albo milczeć.

Pan kapral zakazał wszelkich rozmów. Staliśmy tedy milczący, a na stojaku leżał mój karabin. Właśnie odmierzyłem trójkąt, kiedy mój kolega z lewej strony Zbyszek Prechl szepnął: Pożycz mi okularów (do strzelania używaliśmy obaj szkieł).

Ponieważ p. Bilski wziął to za rozmowę w szeregu, której zakazał, przeto wypożyczył nas obu sobie na małą godzinkę. Na marginesie dodaję, że nie mrugnałem nawet słówka i do dzisiaj nie wiem, za co zostałem przegoniony. Taniec rozpoczął się od biegu i tam i z powrotem, tam i z powrotem, kilkadziesiąt razy, potem padnij, powstań, biegiem marsz, padnij, powstań i znów biegiem itd. Co zresztą można wymyślić z biednym żołnierzem? A jednak pan kapral Roman Bilski wymyślił. Otóż, kiedy już byliśmy zmęczeni jak wściekle psy kazał nam się obrócić na plecy i w tej pozycji się czołgać, coraz czyniąc zwroty w prawo, lewo, w tył zwrot i tak w kółko. Tego diabelstwa jeszcze nie znałem. Byliśmy wymęczeni do ostateczności. Przyznaję, że miałem w pewnym momencie ochotę rzucić się na kaprala i zadźgać go bagnetem. A przecież byłem w lepszej sytuacji, bo bez karabinu. A biedny Zbyszek – trochę w dodatku ode mnie tłusciejszy i z karabinem, jak on się musiał zmachać.

Przetrzymaliśmy.

Tenże kapral Bilski zrobił nam, to jest naszemu plutonowi inny kawał. Przyszedł jak mi się wydaje „na cyku” kiedyś po capstrzyku na naszą salę, obudził nas, kazał otworzyć okno i zaczął sprawdzać czystość podeszew naszych wojskowych butów. Byli tacy, że nawet szpilką wydłubywali błoto spomiędzy gwoździ, aby uniknąć gniewu i przegonki. Oczywiście nie miało to najmniejszego sensu, bo jeśli pan oficer lub podoficer chcieli kogoś poszukać to zawsze coś znaleźli.

Tego wieczoru Bilski zaczął oglądać buty i wszystkie widocznie mu się nie podobały, gdyż każdą parę kazał wyrzucać przez okno. A butów wiązać nie wolno – zaznaczył i obliżał się z zadowolenia. Wyrzuciwszy chyba ze 12 par kazał wszystkim właścicielom butów wybiec z karabinami na dwór i „za pięć minut buty mają być wyczyszczone”. Bractwo ruszyło na dziedziniec, a trzeba nadmienić, że była to jesień, na dworze zimno i – co gorsze – błoto, a także ciemno.

W tych warunkach było rzeczą naturalną, że nikt nie byłby w stanie odnaleźć swoich butów, a tym bardziej ich oczyścić w tak krótkim czasie. Na szczęście któryś z oficerów służbowych pułku zauważył łażące z nosami ku ziemi białe postacie i zawrócił towarzystwo do koszar. Równocześnie Bilskiemu udzielił ostrej

reprimendy. Kapral chciał się zemścić i na drugi dzień rano zrobił nam pobudkę przed czasem. Traf chciał, że znów natknął się na oficera służbowego i znów został opieprzony.

Czepiał się nas później przez długi czas i to najczęściej będąc pod gazem, aż jednego razu, kiedy pijany zatoczył się na szereg odśpiewujący wieczorną modlitwę, został w zamieszaniu lekko sprany, a następnie zaniesiony za ręce i nogi do swojej izby i tam rzucony na łóżko.

Swoistym rodzajem szykanowania było tak zwane „meldowanie się”. Rzeczą polegała na tym, że delikwent, któremu taką karę wymyślono musiał w oznaczonych godzinach ubierać się w mundur wyjściowy, oczyścić całe oporządzenie i zameldować się u podoficera. Stanowiło to okazję do znęcania się, ponieważ panu podoficerowi raz po raz nie podobało się to i owo, nie zaliczał więc meldunku i żołnierz musiał za godzinę powtarzać wszystko da capo¹⁴. A przecież wiadomo było, że żadne wysiłki nie pomogą, jeśli się ktoś p. kapralowi nie spodoba, lub jeśli będzie w złym humorze.

Pamiętam takie meldowanie się u p. plutonowego Sobieraja. Meldował się kol. Stasio Kmiecik. Jakże ten Sobieraj się nad nim znęcał. Nie dość, że ciągle znajdował jakieś usterki, ale jeszcze biednego człowieka tak przeganiał, że żal było na niego patrzeć.

Pan major Oglaza urządzał się lepiej, kazał się bowiem meldować u siebie w domu. Sam kiedyś miałem tę wątpliwą przyjemność. Trzeba było iść z koszar na osiedle oficerskie na Bukówce i czekać pod drzwiami, po to, aby major jednym rzutem oka ocenił, że oporządzenie jest do luftu i meldunku nie przyjął. Łaziliśmy tak kilka dni z rzędu, choć mieliśmy to karnie uczynić jeden raz.

Wracając do podoficerów, chcę na tym miejscu wymienić – jako postać całkowicie pozytywną – sierżanta Sierszenia i kaprała Senyszyna, mojego dowódcę drużyny w podchorążówce. Poczciwy był plutonowy Kozieja, dość przyzwoity plut. Habota (ale za to potem poszedł na służbę do Niemców), mało sympatyczny i dość złośliwy był plut. Sawicki.

Jak już wspomniałem w warunkach obozowych takich jakie panowały w Niwkach Daleszyckich areszt zamieniany był na stójkę pod karabinem, o ile dobrze pamiętam przy zachowaniu następujących zamienników:

- 1 dzień lekkiego – 1 godzina stójki bez oporządzenia
- 1 dzień średniego – 1 godzina stójki z oporządzeniem
- 1 dzień ścisłego – 2 godziny z pełnym oporządzeniem.

Tamże, na Niwkach Daleszyckich nauczyłem się i niezwykle polubiłem dwie piosenki, obie później w czasie okupacji niezwykle rozpowszechniono jako piosenki partyzanckie. Były to: „Nie szumcie wierzby nam” i „Serce w plecaku”. Wy wszyscy, którzy niejednokrotnie po wojnie słuchaliście tych piosenek pamiętajcie, że myśmy je śpiewali w wojsku tuż przed wojną! Oczywiście z niewielkimi zmianami w tekście. Poza tym w wojsku śpiewaliśmy piosenki legionowe: „O mój rozmarynie”, „Mali” „Chodziłem po polu” i inne, czasem o treści nawet dość dwuznacznej a nawet sprośnej.

[Dopisek na marginesie:] Opisać jeszcze sprawę mszy w Niwkach 12 IV 1939 r.

14 Włoskie: od początku.

Roman Wolańczyk
Memoirs from the School of Cadets at the 4th Infantry Regiment of the Polish Legions in Kielce from the years 1938 – 1939 (ed. Paweł Wolańczyk)

The memoirs of Roman Wolańczyk (born in 1918) were written in the 1970s. The published part documents the author's stay at the cadet training centre at the 4th Infantry regiment of the Polish Legions in Kielce, from September 1938 to July 1939.

The memoirs describe the staff of officers and non-commissioned officers as well as daily life of recruits in the barracks in Bukówka and training sessions in Niwki Daleszyckie in the vicinity of Kielce. There are some critical remarks included. The author writes about poor equipment, obsolete training systems or mobbing. At the same time, he stresses the great spirit of war and patriotism among the recruits.

The article provides interesting information on the functioning of the army in Kielce in the last months before the outbreak of World War II.